

Tygodnik Powszechny

Siostra Małgorzata Chmielewska: Unijne fundusze poprawiają komfort życia. Ale w wysokim standardzie też można głodować.

Michał Kuźmiński, Michał Olszewski: Bieda to stan, w którym brakuje na jedzenie czy opał. Wydawałoby się, że w Polsce, gdzie błyskawicznie przybywa telewizorów czy pralek, taka bieda powinna zanikać.

Siostra Małgorzata Chmielewska: Nieprawda. W Polsce żyje rzesza ludzi, którzy nie mają na chleb czy opał. Brakuje na dojazd dziecka do szkoły, a o dobrym mięsie można zapomnieć.

Taką biedę widać w doświadczeniach naszej Wspólnoty Chleb Życia: wiele rodzin żyje na skraju nędzy. Mnóstwo ludzi wyjeżdża za granicę, co skutkuje rozbiciem i zniszczeniem ich rodzin. Pomoc społeczna w ogromnej większości ogranicza się do wydawania nędznych zasiłków.

Jeśli człowiek musi przeżyć miesiąc za 440 zł, to jasne jest, że żyje w biedzie. A tyle wynosi stały zasiłek pomocy społecznej dla osoby niepełnosprawnej, która z tego tytułu nie może pracować. Jedna z moich pracownic przeżyła miesiąc z dzieckiem za 150 zł. Dochód innej, której niepełnosprawność uniemożliwia pracę, wynosi 500 zł miesięcznie na nią i na dziecko. Wójt jednej z sąsiednich gmin, liczącej niespełna 5 tys. mieszkańców, mówił mi, że ma na liście 900 osób kwalifikujących się do natychmiastowej pomocy żywnościowej.

Kolejne oblicze biedy polega na tym, że wielka liczba młodych ludzi ze wsi i małych miasteczek nie ma szans na usamodzielnienie się. Ile musiałaby zarobić samotna matka z trójką dzieci, żeby wynająć mieszkanie?

Młode małżeństwo pracujące u nas mieszka w Opatowie, z dwoma innymi rodzinami, w trzech pokojach z kuchnią. Zarabiając w sumie 2,5 tys. zł, nie mogą liczyć na kredyt, nie mówiąc o wkładzie własnym, ani na wsparcie rodziny.

Bardzo wielu młodych ludzi, choćby stąd, z okolic naszego Zochcina, nie zawiera małżeństw, bo ich na to nie stać. Oczywiście, sam skromny ślub kosztuje „co łaska”, ale z drugiej strony, dlaczego odbierać ludziom jedyne święto ich życia? Bierze się więc kredyt na skromne choćby wesele najstarszej córki. Młodsza czeka na jego spłacenie, żyjąc w międzyczasie bez ślubu z partnerem. Ostatnie z dzieci, jeśli w ogóle weźmie ślub, to grubo po trzydziestce.

Bieda wiąże się z bezrobociem. Piszą do nas zrozpaczone matki ze wsi i małych miejscowości, gdzie nie ma pracy. Owszem, czasem w sezonie uda im się dorobić. Ale np. tegoroczny zbiór owoców był bardzo często wstrzymywany, bo koszt zbioru przewyższał ceny skupu. Żeby się kwalifikować do pomocy dla bezrobotnych: zasiłków, szkoleń itp. – nie można posiadać więcej niż hektar ziemi, i to przeliczeniowy. Nie da się tymczasem z hektara utrzymać rodziny. W Polsce potrzeba na to 5 hektarów na osobę.

Dopłaty rolnicze niczego nie zmieniły?

Nie bądźmy śmieszni. Wspólnota, mając 5 ha, dostaje rocznie ok. 2 tys. zł dopłat. Co to jest? Dopłaty urządzają posiadaczy 300 ha, ale nie małorolnych chłopów.

Polska nazywana jest „oazą wzrostu gospodarczego w kryzysie”. Wydajemy ogromne kwoty unijnych funduszy, rośnie nam PKB. Tymczasem Eurostat publikuje dane, według których co piątego Polaka nie stać na ogrzanie domu czy zjedzenie mięsa co drugi dzień. Jak to wyjaśnić?

Powiększa się dysproporcja między dynamicznie rozwijającymi się miastami a prowincją. Co więcej, bariera między nimi robi się szczelna – przeskok stąd do wielkiego miasta jest coraz trudniejszy.

Tutejsi młodzi ludzie, ponieważ od początku nie mieli równych szans edukacyjnych, nie mogą się dostać na studia stacjonarne na dobrych uczelniach. Poza tym, czują ogromny lęk przed przeprowadzką do wielkiego miasta.

Podejmują więc studia w pobliskich miasteczkach. I to za własne pieniądze, bo – to kolejna niesprawiedliwość – w praktyce to głównie biedna młodzież płaci za studia. A wykształcenie zdobyte w prowincjonalnych „wyższych szkołach czegośtam” jest często na poziomie dawnej zawodówki. W efekcie młodzież nie ma szans na wyrwanie się z kręgu.

Pejzaż wsi składa się dziś z nowych lub świeżo wyremontowanych domów, zadbanych obejść, lepszych samochodów. Gdzie tu bieda?

Większość nowych domów, które widzieliście po drodze do Zochcina, zostało zbudowanych za pieniądze zarobione ciężką pracą za granicą. Burmistrz pobliskiego Staszowa mówił mi, iż niepokoi się tym, że bardzo wielu ludzi z tych okolic, którzy wracają z pracy za granicą, zamiast inwestować np. we własne firmy, wydaje pieniądze na wille. To też objaw biedy, podobnie jak tragedia kredytów: skoro normalną drogą nie da się zaspokoić potrzeby życia w dobrym standardzie albo wręcz luksusowym standardzie, trzeba się albo zaharowywać za granicą, albo wziąć kredyt, którego nie będzie się mogło spłacić. Do naszych domów dla bezdomnych przychodzi mnóstwo ludzi, których zniszczyły kredyty.

Tymczasem w TV roi się od reklam pokazujących, jak szczęśliwy będziesz, gdy weźmiesz kredyt.

Jednego z naszych mieszkańców, upośledzonego umysłowo, wyciągnęliśmy z długów. Nie był w stanie za zasiłek opłacić rachunków. Ale ponieważ na jego konto przychodzi stały dochód w wysokości 440 zł zasiłku miesięcznie, to regularnie dostaje od banku... ofertę kredytu.

Bardzo wielu młodych ludzi, gdy tylko dostanie dowód osobisty, bierze kredyt na samochód, a potem się dusi.

Bo kolejna nowość w profilu polskiej biedy to to, że ubodzy mają np. telefon komórkowy. To co prawda akurat można zrozumieć, telefon też jest narzędziem pracy...

...ale służy głównie do wysyłania SMS-ów. W noclegowni dla bezdomnych kobiet 90 proc. mieszkanek, oprócz chorych staruszek, ma komórki. Tyle że konto takiego telefonu jest puste, korzysta się z puli darmowych SMS-ów. To gadżet, który nie służy im nawet do komunikacji z rodziną. Po prostu, komórkę trzeba mieć.

Bywa też, że na ubogim domu wisi antena telewizji cyfrowej, a w środku stoi telewizor. Ale czy można to potępić?

Absolutnie nie. Przede wszystkim, to nie do końca prawda, że ludzie faktycznie biedni mają telewizję cyfrową. 50-60 zł abonamentu to naprawdę bardzo dużo. Owszem, telewizor zwykle mają. Można by zapytać, dlaczego zamiast niego nie zainwestują w łazienkę. Kiedyś usłyszałam, że skoro ktoś wychowywał się bez łazienki, to jego dzieci też nie muszą.

Ale dlaczego nie wolno potępiać posiadania telewizora? Otóż jest to często jedyny kontakt ze światem. We współczesnym świecie ludzie nie mogą żyć bez dostępu do informacji, jakakolwiek by nie była ich jakość. Podobnie jest z internetem. Niedaleko stąd otworzyliśmy świetlicę z pięcioma komputerami i szybkim łączem. Dzieci korzystają z sieci w nauce. Nie można odcinać ubogich od cywilizacji. Bo skutkuje to wykluczeniem.

Badając niedostatek w krajach UE, Eurostat odwołał się do dziewięciu kryteriów. Jak Siostra je skomentuje? To po kolei: niezdolność do poniesienia niespodziewanych wydatków; do wyjazdu na tygodniowy urlop z dala od domu...

Tygodniowy urlop? Z dziećmi? Urlop spędza się pracując w polu swoim albo sąsiada. Dotyczy to też dzieci.

Kolejne kryteria: niezdolność odpowiedniego ogrzania domu; nieposiadanie pralki; kolorowego telewizora; telefonu; samochodu osobowego.

U nas akurat samochód to nie luksus, lecz narzędzie jakiegokolwiek kontaktu ze światem: tu nie ma komunikacji. Moi pracownicy, którzy zarabiają najniższą możliwą stawkę – warsztatów socjalnych nie stać na więcej – wszyscy mają samochody. Bo jak dojechaliby do pracy? Bez samochodu nie kupi się tu chleba, nie pojedzie się do lekarza. Te auta to oczywiście stare, remontowane graty.

Dalej: posiadanie długów; niemożność kupienia co drugi dzień posiłku zawierającego kurczaka, ryby lub ich wegetariański odpowiednik...

Ryby są potwornie drogie. Mięsem jest też paszтетówka czy najtańsza mielonka, która kosztuje 2,80 zł za pół kilo. Ale gdy się ją smaży, na patelni zostaje woda. Kupujemy więc trochę droższe mięso, żeby faktycznie było mięsem. Ryby i sery są droższe niż najtańsze wędliny podrobowe. Kilo najtańszego sera w hurcie to 13 zł, a paszтетowa – 7 zł. Dlatego, choćby mnie miał za to potępić cały Episkopat, na niejedzenie mięsa w piątek nas nie stać. Nie kupię ryby. Wolę zrobić kaszę ze skwarkami. W okolicznych domach rosół jest raz na tydzień. 90 proc. tutejszych rodzin nie stać na porządny kawałek mięsa. Je się np. pierogi z paszтетówką czy ruskie.

Jako Wspólnota prowadzimy fermę kurek zielononózek, ale nie jemy jajek od nich – nie stać nas. Sprzedajemy je po złotówce, a w supermarkecie kupujemy jajka dla siebie za 30 gr.

Jak wygląda polskie pomaganie ubogim? Głośna była historia piekarza, któremu Urząd Skarbowy kazał zapłacić ogromny podatek za chleb, który przekazywał biednym.

Szczęśliwie naszych darczyńców nie dopadli. Ale więcej nie powiem, bo nasi podopieczni będą głodować.

Czy problemy z pomaganiem ubogim biorą się z braku chęci pomocy, czy np. ze złego prawa?

Winne jest prawo. Ogromna ilość żywności się marnuje, bo ofiarodawca będzie miał więcej kłopotu, gdy ją przekaże, niż gdy wyrzuci. Często drobni przedsiębiorcy ofiarowują nam żywność prosto z produkcji, ale jak ognia unikają pokwitowania, bo nie chcą kłopotów z Urzędem Skarbowym.

Urząd Stołecznego Miasta Warszawy zażądał od nas udowodnienia, że stawka żywieniowa w naszych domach wynosi 10 zł. A że nasi darczyńcy boją się formalności i nie ma w związku z tym żadnych papierów, to sami szacowaliśmy wartość darów, żeby następnie udowodnić coś urzędnikom. Kosztowało to mnóstwo pracy. To jest chore. W Warszawie biurokracja związana z wydawaniem unijnej żywności przez Banki Żywności wymaga od nas np. obliczenia, ile ryżu, kaszy czy makaronu zjadł danego dnia dany bezdomny. Był moment, gdy wymagano wręcz, by każdy bezdomny – a w schronisku było 90 chorych – podpisał, że zjadł. Rozdawnictwo żywności zaczyna być droższe niż jej zakupienie. Czas urzędników, kontrolerów, a wreszcie i nasz, też kosztuje. W efekcie 20 proc. pomocy faktycznie trafia do konkretnych potrzebujących. 80 proc. jest konsumowana po drodze, przez ludzi, którzy świetnie żyją z obsługi działalności charytatywnej.

Cały ten system zmierza do eliminacji zwykłych ludzkich gestów życzliwości, dobroci i solidarności. A gdy wszystko zaczyna się zliczać i regulować, skutkuje to swoistym totalitaryzmem prawnym: gdy w Belgii poprosimy bezdomnego, żeby pozmywał po obiedzie, może nas oskarżyć o zmuszanie do niewolniczej pracy. Wspólnota miała o to proces. Wygraliśmy, lecz adwokat kosztował nas kilka tysięcy euro. Podobny przypadek zdarzył się ostatnio też w Polsce, w jednym ze schronisk na Pomorzu.

Jaki jest sposób na wyciągnięcie z biedy ludzi z tych okolic?

Przede wszystkim edukacja. Ostatnio otworzyliśmy przedszkole, bo to już na tym etapie zaczynają powstawać bariery rozwojowe. Na wsi, gdzie gospodarstwa są rozrzucone, dzieci mają dużo mniejsze możliwości kontaktu z rówieśnikami. Przedszkole to umożliwia. Poza tym, uczą się rysować, tańczyć, śpiewać. Gdy dzieci, którym nie stworzono takich możliwości, pójdą do szkoły, już będą miały trudniejszy start.

Wiary w siebie nabieramy wtedy, gdy się nam coś uda, przebrniemy barierę lęku, także przed innym człowiekiem, gdy nabieramy ciekawości świata. Bieda natomiast tworzy zastępy dzieci wpatrzonych we własne buty, niezdolnych później do inicjatywy.

Drugim elementem wyciągania z biedy jest wspieranie autonomii ludzi: polityka socjalna umożliwiająca zapracowanie własnymi rękoma na życie w godnych warunkach. Niezbędny jest dostęp dla młodych ludzi do gminnych mieszkań socjalnych o przyzwoitym standardzie, gdzie czynsz byłby niewielki i które wynajmowane byłyby rodzinie np. na dziesięć lat. Dzięki nim rodzina, nie biorąc kredytu, mogłaby odłożyć, stanąć na nogi. W Polsce nie ma na to szans. W Niemczech w latach 60. zbudowano dziesiątki tysięcy takich mieszkań – dziś służą imigrantom, bo ich pierwsi mieszkańcy dawno się już dorobili i mogą normalnie żyć.

Model rolnictwa, na który postawiliśmy wchodząc do Unii, zakłada, że gospodarstw będzie mniej, pozostaną te wielkie. Jak wpłynie on na problem biedy?

A gdzie się mają podziać ludzie ze zlikwidowanych gospodarstw? W slumsach wielkich miast? Polski klimat na to nie pozwala, to nie Nairobi. Gdyby nie pogoda, już by tak było.

Nie ma żadnego modelu. Żadna partia nie odważyła się wdrożyć sensownej polityki rolno-społecznej. W naszej okolicy skończyła się uprawa buraków cukrowych, a nikt nie nauczył rolników, co robić dalej. Dzieci wyjeżdżają, ale nie do miast. Za granicę. Ostatni hydraulik zgasił tu światło trzy lata temu.

Wspomniany burmistrz Staszowa chciałby, żeby ludzie zakładali prywatne inicjatywy. Może to jest wyjście?

To nierealne. Na drodze stoi bariera formalna i psychiczna. Organizowaliśmy dla naszych pracowników kursy zakładania firm, ale większość z nich się na to nie odważy. Do poprowadzenia firmy potrzeba nie tylko

przygotowania, lecz też stażu jako pracownik i wynikających z tego doświadczeń. Poza tym, ludzie ci boją się koszmaru związanego ze zdobywaniem pozwoleń, spraw podatkowych, rejestrowaniem działalności.

Komisja „Przyjazne Państwo” miała to wszystko ułatwić.

Państwo absolutnie nie jest przyjazne. Owszem, przyjaźni bywają urzędnicy – ale prywatnie.

Filozofia unijnych funduszy strukturalnych polega na tym, że poprawa infrastruktury – dróg, kolei czy choćby kanalizacji – stymuluje rozwój. Ale czy pomoc ta przekłada się na pojedynczych ludzi, np. tych, którzy nigdy firmy nie założą?

Oczywiście, poprawia to komfort życia, choćby w tej okolicy, gdzie tragicznie brakuje wody, a instalacja elektryczna wisi na włosku. Ale w wysokim standardzie też można głodować. Problem w tym, że nie powstają tu miejsca pracy, bo ludzie nie są tu przygotowani do własnej działalności pozarolniczej. Dlatego tak ważna jest edukacja. Sytuację wsi mógłby poratować rozwój sektora usług albo takich rodzajów działalności jak przetwórnia, którą założyła Wspólnota – bezpośrednia produkcja przynosi dziś straty, ale produkcja przetworzona już nie. To jednak wymaga smykałki i inwestycji. I przejścia przez urzędnicze piekło. Gdyby pracującym u nas paniom pozwolono choćby kisić ogórki na sprzedaż, nie wymagając wyśrubowanych standardów, mogłyby one bez trudu wiązać koniec z końcem. Natomiast pomoc zaprojektowana zza biurka, bez znajomości lokalnych realiów, zawsze w efekcie niszczy miejscowe struktury.

Bardziej niż nowa droga pomocne byłyby życiowe przepisy?

Jedna z organizacji pozarządowych prowadzi dom dla bezdomnych, gdzie nie mieszkają ludzie niepełnosprawni, bo dla nich jest inny ośrodek. Mimo to muszą oni, według standardów, zrobić podjazdy i windy dla niepełnosprawnych. Czekają ich wydatki 100 tys. zł – na coś, co nikomu nie posłuży. Za te pieniądze mogliby dla swoich podopiecznych zrobić mnóstwo dobrego.

Nic nie zastąpi zwykłej chrześcijańskiej wyobraźni [miłosierdzia](#).

Może komisja „Przyjazne Państwo” powinna zaprosić Siostrę do swojego grona jako eksperta?

Mam bardzo mało zaufania do tego, że czas strawiony na pracę w jakiegokolwiek komisji przyniesie owoce w postaci rzeczywistych efektów. Chociaż właśnie napisałam list do ministra i wojewody na temat absurdów dotyczących wspierania organizacji pomagających bezdomnym. Urzędnicy produkują programy kompletnie oderwane od życia. Przykładowo, według nich zima kończy się w Polsce 31 grudnia – pieniądze z konkursów musimy wydać do końca roku kalendarzowego, a dostajemy je w połowie października. I tak program „Wychodzenie z bezdomności” możemy prowadzić przez dwa miesiące. A wyprowadzanie człowieka z bezdomności zajmuje kilka lat. Następne dotacje otrzymamy najwcześniej w maju. A zima? Okres od stycznia do marca to czas dla bezdomnych najtrudniejszy.

Z kim porównują się Polacy żyjący w niedostatku? Z bogatszymi czy biedniejszymi, np. takimi krajami jak doświadczone właśnie kataklizmem Haiti?

Ludzie, których nie stać na wyjazd czy nowe ubranie, ale mają jeszcze co włożyć do garnka, na ogół nie porównują się z nikim. I być może dlatego nie są nieszczęśliwi.

Otóż to – jedne badania pokazują rozmiary polskiej biedy, inne natomiast pokazują, że większość Polaków jest zadowolona z życia. Jak to pogodzić?

Takie badania dotyczą zazwyczaj konsumpcji, a na niej życie się nie kończy. Każdy Francuz czy Belg ma zapewnione minimum socjalne, ludzie mają za co żyć, ale narasta w nich frustracja. Bo człowiek czuje się szczęśliwy, gdy coś tworzy, gdy pracuje. Natomiast polscy ubodzy muszą się wokół swojego bytu zakrzętać, i jeśli nawet osiągną coś tak nieznacznego jak pasztetowa na śniadanie, to jest to dla nich sukces. Być może dlatego czujemy się mimo wszystko lepiej. Ludzie zarabiający 1000 zł są biedni, ale nie są na marginesie – bo w sklepie wydają zarobione przez siebie pieniądze, a ich dzieci są z nich dumne.

Miernikiem rozwoju kraju jest Produkt Krajowy Brutto. A w jakiej skali Siostra mierzyłaby rozwój?

Byłby to wskaźnik dotyczący dzieci – bo dawno przestało być prawdą, że najbiedniejszą grupą są emeryci. Najtrudniej żyje się dziś rodzinom z dziećmi. Zatem jeśli, powiedzmy, 80 procent rodzin w Polsce będzie stać na tygodniowy wyjazd na tanie wakacje, wówczas uznam, że osiągnęliśmy pewien poziom. Ile ten wskaźnik wynosi dzisiaj, według Eurostatu?

37 procent.